



## POWRÓT CARA

Przeprawa przez Dniepr ◦ Na Zadnieprzu ◦ Pochód do Łubniów ◦ Nad Don czy na Moskwę? ◦ Przed bitwą ◦ Na krańcu świata ◦ Pożegnanie z Rzeczpospolitą ◦ Morawsk ◦ Jak Moskwa wita Lachów i Litwę ◦ Pierwsza krew ◦ Zdrada mieszczan ◦ Pochód na Czernihów ◦ Kozacka swawola ◦ Łup popa jak skopa! ◦ Pogrom w grodzie ◦ Na Moskwę ◦ Nowogród płonie!

*Die 23 octobris, Anno Domini 1604*

*Roku 7113 od stworzenia świata*

*Wyszogród, przeprawa przed Dniepr, poranek*

**T**o Moskwa? Tam, na drugim brzegu?  
Płynęli na bajdakach, stłoczeni, ściśnięci, trzymając za wodze niespokojne, parszające wierzchowce, samotni na ogromnej rzece jak rozbitkowie na wyspie. Mgły i opary schodziły w dół z prawego brzegu, urwistego niby górską grań, staczały się ku srebrzystym nurtom Dniepru. Przesłaniały widok na lewe wybrzeże – jak pamiętał z dawnych lat Dydyński – niskie, płaskie i trawiaste. Rozłożone jak otwarta księga, w której literami alfabetu były miasteczka, folwarki,

futory i kurhany pozostałe po bitwach z Tatarami, Moskalami i Kozakami.

Mgła była przekleństwem, ale i wybawieniem. Oslaniała ich przed tysiącem wrogich oczu, a zwłaszcza przed bystrym spojrzeniem Janusza Ostrońskiego, kasztelana krakowskiego, który pościagał z rzeki promy, czajki i czółna, aby przeszkodzić im w przeprawie. Dlatego Dymitr i Dworycki poprowadzili małą armię takimi bezdrożami, że polujące nad stepami jastrzębie zdawały się muskać skrzydłami trzęsienia i czapki ludzi Dymitra.

– Jeszcze nie teraz, jeszcze nie tutaj – mruknął Jacek do Nieborskiego. – Najpierw przejdziemy Zadnieprze. Potem zacnie się nasza dawna Siewierszczyzna. Dopiero nad Desną pożegnamy Rzeczpospolitą.

– I pobratamy się z deputacją cara Borysa. To będzie gorące przywitanie – wycharczał Świrski. – Poznamy carską rodzinę, bo Godunow obsadził wszystkie grody, włości i urzędy wojskowe swoimi krewnymi. Stryj jego daleki Siemion Godunow zarządza prikazem śledczym, inny znowu, Iwan, jest carskim wojewodą. Samych dzieci Borys ma troje – Iwana, który Anno 1588 umarł, będąc otrokiem, Ksenię, podobno cudnej urody, i Fiodora – następcę na tronie, lat będzie miał jakieś piętnaście. Dobrze wrodzili się oprycznicy w carską rodzinę. Siostrę swoją Irenę dał niegdyś za samego cara Fiodora Joannowicza, jurodiwego syna Groźnego. A Borys pojął za żonę Marię, córkę Maluty Skuratowa, co jak pies kąsał wrogów Groźnego...

Za nimi na bajdaku wszczął się ruch wśród koni, ucinając dalsze wywody genealogiczne pana Herakliusza. Jeden zarzął, inny zakwiczał, a pozostałe odpowiedziały biciem kopytami o drewniane dno promu.

- Spokój! Zdrow! – ozwały się głosy. – Nastąp się.
- Daleko stąd do stolicy? – wychrypiał Nieborski.
- Do Moskwy? Będzie z miesiąc drogi kolasą.
- A do domu?
- Nie myśl, waszmość, o domu.

– To jak podróż do grobu – Świrski głos miał chropawy, a oczy przekrwione po wczorajszej pijatyce. – Wóz albo przewóz. Nie ma już odwrotu.

– Zimno. – Dydyński poprawił delię podszytą wilczurem. Zabijał rękoma o boki, chuchał w przemarznięte dłonie.

– Będzie gorzej – krakał Świrski. – W Moskwie najlepszym hetmanem jest jegomość pan mróz. Car Borys to władca zimy. Gdziekolwiek postąpi, idzie za nim krok w krok śnieg i wichler. Już mi się zimno robi. Całkiem jak wtedy, gdy pan Wapowski dla uciechy wypuścił byka na ulice Denowa, kiedy urodziła mu się córka. Zaczynała być, kiedyśmy po pijanemu z rusznikami za nim ganiałi. Pamiętasz?

– Mikołaj Pawłowski zginął natenczas. Tak, pamiętam.

– Mówiłem, żeby byka nie w uliczki, ale na rynek puszczają. Bo nie tak go szczwali, jak trzeba, nie od przodu, jeno z tyłu zachodzić i nie w łeb, ale w zad z rusznik palic...

– A waszmość się wypuszczał do Hiszpanii na byki, że wiesz najlepiej, jak buhaja powalić?

– Ciiiiicho!

Znów wszczął się niepokój wśród koni. Dulki wiosła, na które napierali krępi, żyłaści Kozacy i siromachy, skrzypiały cicho, ich dźwięk niknął we mgle jak w przepastnej szopie pełnej siana.

– Boisz się waszmość?! – wycharczał Świrski i chwycił Dydyńskiego za pozłocisty guz od delii. Potrzymał chwilę, nim Jacek odepchnął upartej moczygębę.

– Tylko głupcy nie znają strachu.

A potem wszystko potoczyło się tak szybko, że nawet nie zdążyli krzyknąć. Za ich plecami rozległ się kwik konia, łoskot kopyt, zwierzęta rzuciły się w bok, potrącając ludzi. Dydyński wrzasnął; spłoszona Hetmanka przyparła go do boku podjezdka Nieborskiego, zarząła, przysiadła na tylnych nogach, bijąc przednimi o drewniane dno bajdaka. Jacek odskoczył, szarpiąc za uzdę, chcąc wstrzymać na munsztuku szalejącego konia. Nieborski zatoczył się pchnięty końską piersią.

I nagle, jak grom z jasnego nieba, pojawił się nad nim pysk koński. Spomiędzy spłoszonych wierzchowców wypadł jabłkowity rumak, popędzany ostrogami przez jeźdźca. Zarżał, zachrapał, kwiknął, próbując zatrzymać się na krawędzi promu...

Na próżno! Ukłuty ostrogami skoczył w przód, wzbijając w górę kopyta, wpadł w spienione, wartkie dniewprowe nurty, zniknął w falach, aby wynurzyć się – już bez jeźdźca.

– Krzeszowiiiiiiicz! – zawył Przybyłowski, rzucając się do krawędzi. – Trzymajcie go, Jezu Chryste! Od febry na łeb zapadł! Szelma! Idyjota!

Przewoźnicy porzucili pojazdy, czyli wiosła. Porwali się do koni, które zmieniły się w kłęb szalejących furii, bijąc kopytami, stając dęba i obracając się z kwikiem przerażenia, aby znaleźć się jak najdalej od wody.

– Staaać! Trzymaj! Staaać!

Dydyński przytrzymał rozszalałą Hetmankę, przyciągnął do siebie łeb konia, rozejrzał się po bajdaku, sprawdzając, co z jego ludźmi. Świrski gramolił się na nogi, jego konia pochwycił czeladnik Przybyłowskiego, podjezdek Nieborskiego stał z opuszczonym łbem, ze zwieszającymi się żałośnie wodzami.

– Damian! – ryknął Dydyński. – Damiaaaaan! Gdzie jesteś?

Cisnął uźdę Świrskiemu, skoczył do burty, wbił przerażony wzrok w okrutną rzekę. Bajdak obracał się wokół własnej osi, niesiony prądem. Wzrok pana Dydyńskiego przemknął wzdłuż szarego nurtu do bocznej burty; spostrzegł wśród fal podgoloną, kędzierzawą głowę szlachcica, która na chwilę wynurzyła się z rzeki.

– Mości Nieborski! – ryknął stolnikowic i rzucił się wzdłuż burty w stronę, gdzie jego pocztowy szamotoł się w skotłowanej rzece. Prom, obracając się wokół własnej osi, oddalał się od niego.

– Damian! Lude, spasajcie! – ryknął do Kozaków, którzy szarpali się z końmi, zamiast napierać na wiosła. – Wyciągnijcie go! Czerwonego dam!

Skoczył na róg promu, chcąc chwycić pocztowego za ramię, zanim okrutna rzeka poniesie go na południe, odepchnie od bajdaka. Za późno! Wszystko na próżno!

W ostatniej chwili ktoś uprzedził Dydyńskiego – wielkie jak tur chłopisko w moskiewskim szłyku, to jest wysokim futrzanym kołpaku, z czarną brodą. Jednym ruchem ucapił za ramię czeladnika; stękając od bólu ledwie wygojonych stawów, przyciągnął go do burty, gdzie już czekały stwardniałe ramiona kozackich przewoźników.

Jacek poczuł się tak, jak gdyby spadł mu z ramion ciężar wszystkich grzechów jego ojca. Tym, który wyciągnął Damiana z topieli, był Borys Oboleński. Moskał oddał mu pokłon; kłaniał się spokojny i nieobecny.

Przybyłowski przypadł do nich bez tchu, pochylił się nad Damianem, sprawdził, czy żyje. Czeladnik charczał, krztusił się, wypluwał dniewprawą wodę jak Tryton.

– Co się stało? – zapytał Świrski.

– Krzeszowicz – wykrztusił blady jak sama śmierć pan Mikołaj. – Od febry i gorączki na łeb mu padło. Nie chciał zejść z konia, nagle ostrogami go spał. Konno w Dniepr skończył, świeć Panie nad jego grzeszną duszą... Mało nas nie pozabijał.

– Dlaczego na wozie go nie położyli?! – warknął Dydyński.

– Nie chciał, krzyczał, wierzchowce płoszy! Ostawiliśmy go w kulbace...

– O mało nas nie przewiózł... na tamten świat – skomentował Świrski. – Hej, mołojcy! Do pojazdz! Do drygawek! Brzeg blisko!

– Boże zmiłuj! – wycharczał zziębnięty, przerażony Nieborcki. – Boże chroń... Moskala Borysa!



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki